

Książka modna

[Michał Wikowski, Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej, WAB, Warszawa 2007]

Akcję swej najnowszej powieści usytuował Michał Witkowski na Górnym Śląsku. Rzec dzieje się zasadniczo w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego już wieku, nieco zahaczając o gierkowski „kapitalizm” lat siedemdziesiątych. Głównym bohaterem opowieści Witkowskiego jest niejaki pan Hubert – jakkolwiek rynki zbytu są niewielkie, wielka jest jego biznesowa i pozabiznesowa wyobraźnia. Zajmuje się w swym życiu wszystkim – czym tylko można i czym popadnie: paserką, rozbójniczymi pożyczkami, kradzieżą kwiatów z cmentarzy, prowadzeniem półlegalnego kina, opartego o repertuar pirackich kaset wideo. Do tego dochodzą jeszcze zapiekanki, handel walutą – jednym słowem wszystko, co w danej chwili generuje jakiegokolwiek pieniądze.

Można powiedzieć – nic nowego. Już na początku lat dziewięćdziesiątych powstawały w Polsce satyry na nową rzeczywistość, literatura próbowała to wszystko ogarnąć, skomentować... W efekcie mieliśmy do czynienia z utworami banalnie bezpośrednimi, nazywającymi rzeczywistość wprost, na tyle satyrycznymi, na ile satyryczna i jakby autostydercza była już sama rzeczywistość – opowiadanka wybijane niczym na sztancy (Nowakowski, Redliński), ciągle z tym samym, balzacowskim co do metody, staromodnym obrazowaniem tego, co wokół. Ale i potem powstawały książki o podobnej tematyce – tak jakby piszący je młodzi ludzie nie pamiętali porażek starszych kolegów. Myślę o pisarzach trzydziestolatkach, o całej tej makulaturze literackiej, którą z wyjątkami wypełniona jest choćby antologia *Tekstyliów*.

Jednakże Witkowski postawił sobie cel o całe literackie niebo poważniejszy. Jego *Barbara Radziwiłłówna* tylko w pewnym stopniu jest powieścią o czasach przełomu gospodarczego, o interesach robionych na wszystkim i niczym, o robieniu ludzi na szaro, o wyciskaniu pieniędzy z kamieni. A wszystko za sprawą głównego bohatera powieści, który jest jednocześnie jej narratorem, rzec można – pamiętnikarzem, kimś na wzór i na miarę ambicji Chryzostoma Paska. Bo pan Hubert to nie lada byle kto. I owszem, jest biznesmenem, pijawką i wyzyskiwaczem – ale jego osobowość trudno nazwać standardową. To człowiek bezwzględny, ale przy tym sentymentalista i nostalgik, twardo stoi na gruncie zmerkantylizowanej rzeczywistości, jednocześnie jednak rekonstruuje rodzinne korzenie. Ma ciotkę „niby arystokratkę”, jak sam pisze z pewną dozą wątpliwości (stąd – rzekoma – błękitna krew i jak najbardziej prawdziwy tytułowy pseudonim), ma też w rodzinie antenatów żydowskiego pochodzenia, co z kolei miało wpłynąć na smykałkę do interesów. Nawet jego matka, chociaż prostytutka, do tego jeszcze prostytutka zgwałcona, zgwałcona jednak ponoć przez samego Wampira Zagłębia – osobę

skądinąd sławną i dlatego pan Hubert, człowiek z pretensjami, pisze o tym nie bez pewnej dumy.

Pan Hubert jest człowiekiem namiętym. Nie tylko dlatego, że z prawdziwą rozkoszą kolekcjonuje swój majątek, nad którym potrafi odprawiać nieomal seksualne rytuały. On do wszystkiego stara się mieć artystyczny, filozoficzny i językowy dystans. Już choćby owa, dość spora, autonomia egzystencjalna czyni go postacią jakże różną od tych wszystkich płaskich bohaterów zamieszkujących powieści politycznego i gospodarczego przełomu (myślę o książkach Nowakowskiego, Redlińskiego czy choćby Odiji i Shutego – rówieśników autora *Lubiewa*). Tam bowiem jeżeli ktoś jest nawet panem sytuacji świata powieściowego (bo ma pieniądze), to i tak realizuje biernie społeczną rolę przypisaną mu przez własne środowisko.

Pan Hubert jest zupełnie inny i to czyni powieść Witkowskiego w jakimś stopniu atrakcyjną. Rozmiłowany jest w pisaniu – chce opisać swoje życie, szuka do tego możliwie najbardziej adekwatnych środków wyrazu (gwara śląska, staropolszczyzna, literacki język polski, hebrajski, niemiecki); nie ogranicza się do przeźroczyściego pamiętnika, który każą pisać swym pacjentom psychoterapeuci. Pan Hubert zna się nie tylko na biznesie, rzuca tu i ówdzie cytatami z literatury ojczystej i obcej, zna definicję słowa oksymoron – czuje się kimś lepszym od tej całej reszty, z którą przyszło mu dusić się na co dzień. Wszakże ta jego lepszość nie czyni go bynajmniej szczęśliwszym, raczej bardziej samotnym („jak w więzieniu w tym swoim życiu zamknięty” – mówi przy okazji kolejnej zadumy nad sobą i bliźnimi). Rzec można, że pisanie, a nie pieniądze czy ściąganie długów, daje mu finalnie prawdziwą władzę nad ludźmi – za pomocą pióra może bowiem lekką rączką powoływać kogo chce do życia, unicestwiać go, podawać w wątpliwość czyjąkolwiek egzystencję – „tak naprawdę to przecież ja sobie siebie Sasza, wymyśliłem”.

Atutem powieści Witkowskiego jest to, że twórca książki stara się szukać nici porozumienia nie tyle w przeżyciach i wspomnieniach pokoleniowych (co czyni większość jego rówieśników), ile w języku, bo to język ma mitologizować to, co opisuje – zwykłe czynić niezwykłym, przemijalne ponadczasowym. Dlatego właśnie autor *Lubiewa* powołuje do życia człowieka z osobowością pisarza z krwi i kości, kogoś, komu nawet jeśli zmyśla historię swoją i swoich bliskich, jest to najzupełniej obojętne, bo najważniejsze to pisać, pisać...

Owa mitologizacja rzeczywistości przez język wydaje się założeniem trafionym. Tyle tylko, że efekt okazuje się cokolwiek monotony, jednostajny – nawet jeśli owa jednostajność to jednostajność błyskotliwa, szybka, zatem z pozoru niepozwalająca się nudzić. U Witkowskiego zaskakiwanie czytelnika skojarzeniami językowymi sprowadza się jak dla mnie tylko do niby-zaskoczeń, bo tak naprawdę to wszystko jest aż nazbyt monotonne. Owszem, gdy czytałem *Barbarę Radziwiłównę*, miałem, jak chyba wszyscy, wrażenie nieustającego ruchu – wirowała narracja, wydarzenia i przestrzeń, język wibrował anegdotą i humorem – tylko czy ta całość rzeczywiście aż tak śmieszny i tumani? W czasie lektury miałem wrażenie, że tu kartka do kartki podobna, strona do strony.

Witkowski przyznał w wywiadzie promującym powieść, że skończyła się nieodwołalnie literatura, dla której język jest wyłącznie przekaznikiem treści wobec języka zewnętrznych – innymi słowy ostatecznie nastąpił czas odnaleziony literatury metajęzykowej. Jako artysta Witkowski absolutnie nie musi być człowiekiem demokratycznym, on ma swoją własną estetykę i ją uważa za jedyną słuszną – to oczywiste, że skoro jest jej wierny, nie musi uznawać tego, co estetycznie inne. Bo wybory estetyczne nie podlegają dyskusji. Krytyce podlega ich realizacja.

I dlatego myślę, że wbrew owej dynamice narracyjnej mamy jednak do czynienia z powieścią monotonną, przewidywalną (czytam Witkowskiego, ale myślę sobie także o Masłowskiej...), podczas lektury ogarnia nas nuda – nuda banalna, somatyczna, dosłowna, wywołująca ból krzyża podczas lektury.



Wojciech Gola, *Mysz miejska*



Wojciech Gola, *Funkcjonalizm*